

# Nie ma jednego stanu wojennego

24 sierpnia 2022

31 lat temu Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego wprowadziła na terenie całej Polski stan wojenny. Władza komunistyczna starła się z opozycyjną „Solidarnością”, a nowe warunki znacząco wpłynęły na życie społeczeństwa polskiego. O doświadczenia społeczne stanu wojennego zapytaliśmy prof. Jerzego Kochanowskiego z UW.

**TOMASZ LESZKOWICZ:** Panie Profesorze, jak wyglądały nastroje społeczeństwa polskiego późną jesienią 1981 r.? Ile było w nich entuzjazmu i nadziei pierwszych miesięcy „karnawału Solidarności”?

**JERZY KOCHANOWSKI:** W przypadku mojej osobistej perspektywy trochę się już zlewają lektury i badania źródłowe tego okresu z własnymi obserwacjami. Byłem wtedy już na trzecim roku studiów i wydawało mi się, chyba nie do końca słusznie, że dużo widzę i rozumiem. Pamiętam szczególnie pewnego rodzaju zmęczenie: z jednej strony trudnościami życia, kartkami i kolejkami, ale także niepewnością. Młodzi ludzie patrzyli na to inaczej, chociażby dlatego, że zwykle się takimi rzeczami nie przejmują. Pamiętam jednak reakcje moich rodziców i rozmowy o tym, jak się to tak naprawdę skończy, ale także świadomość konieczności przełomu w jedną albo w drugą stronę.

– **Badania OBOP pokazują spadek zaufania do „Solidarności” i wzrost poparcia dla wojska...**

– Pamiętam pewien epizod z okresu kryzysu bydgoskiego, czyli już wiosny 1981 r. Wracaliśmy z objazdu do Wrocławia i rozmawialiśmy z dwoma oficerami, którzy przypadkiem byli w naszym przedziale. Zachowywali się bardzo państwowo, w sposób wzbudzający zaufanie, bo i okres był niezwykle napięty i drażliwy. To budziło pewne nadzieje. Myślę, że te badania

OBOP-u mają podstawy – wojsko było gwarantem bezpieczeństwa, trochę jak w latach 1920. czy 1930. Wydaje mi się, że generał na stanowisku premiera od lutego 1981 r. wcale nie był przyjęty negatywnie, raczej mógł być postrzegany jako symbol stabilizacji.

**– Czy na nastroje miała wpływ propaganda klęski uprawiana przez władze, np. straszenie ciężką zimą?**

– Na pewno zderzały się ze sobą dwie kontrpropagandy klęski: władzy i „Solidarności”. To nie było zjawisko jednotorowe. Pamiętajmy, że wydawnictwa „Solidarności”, która liczyła wówczas 10 mln członków, trafiały zapewne do kilkunastu milionów ludzi, czyli do większości dorosłych Polaków. A obydwie strony oskarżały się nawzajem. Należy też pamiętać, że mamy skłonność do myślenia czarno-białego. Była jednak też olbrzymia grupa ludzi pośrodku, którzy dostrzegali przede wszystkim odcienie szarości i nie bardzo wiedzieli, co się stanie. Byli również ludzie wykluczeni – nie tyle pod względem ekonomicznym (choć także), ale głównie należący do kręgu władzy lub znajdujący się blisko i identyfikujący się z nią. Znajdowali się wśród nich np. emeryci milicyjni, wojskowi czy kombataneci. Oni nagle zostali po Sierpniu przeniesieni na margines, choć bardzo chcieli uczestniczyć w życiu społecznym. To była grupa nie tylko duża, ale i młoda, bo emeryci wojskowi lub milicyjni mogli mieć nawet po 45–50 lat. Dziś chyba nie doceniamy jej roli w ówczesnych wydarzeniach.

**– Czy stanowiła ona podstawę społeczną stanu wojennego?**

– Tak, stanowiła m.in. zaplecze Centralnej Komisji do Walki ze Spekulacją. To widać bardzo wyraźnie: byli zarówno w grupie pracowników etatowych, jak i tych terenowych, zajmujących się „społecznie” kontrolą. Stanowili też trzon Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej (tzw. irchy) oraz ORM0. Odetchnęli z ulgą, bo nareszcie mogli współdziałać.

**– W swoim dzienniku „Mowa w stanie oblężenia” Michał**

**Głowiński, mówiąc o Janie Dobraczyńskim, używa określenia „emeryt heroiczny”...**

– Dobraczyński był emerytem intelektualnym i szefem PRON-u, ale ta grupa była znacznie szersza. Pamiętajmy, że nie chodzi tu tylko o wielkie miasta, ale także o peryferie (w znaczeniu socjologicznym).

**– Czy stan wojenny różni się od siebie w wielkich miastach i na tzw. prowincji?**

– Różnice są zawsze. Wydaje mi się, że stan wojenny na prowincji był dużo bardziej udomowiony i swojski. Milicjant był swój, podobnie jak ksiądz czy sekretarz. Musieli działać na małym terenie, uzgadniając pewne kompromisy.

Krótki anegdota: w latach 1980. utrzymywaliśmy kontakty z księdzem doktorem Skiełczyńskim z Łowicza, który był archiwariuszem łowickim i świetnym historykiem, a jednocześnie kapłanem więziennym w ciężkim więzieniu w Łowiczu. Co istotne, część jego pensjonariuszy znalazło się w 1981 r. w ZOMO. W święta 1981 r. ksiądz chodził po kołędzie, w tym do miejscowego oficera SB (co w Warszawie byłoby przecież niemożliwe!). Siedzieli długo, wypili butelkę wódki. Minęła wreszcie godzina milicyjna i esbek, biorąc przepustkę i broń, stwierdził, że księdza odprowadzi. Jest godzina pierwsza w nocy, naprzeciwko pojawia się patrol ZOMO. Esbek chce pokazać przepustkę żeby się wylegitymować, patrol podchodzi bliżej i zomowcy mówią: „Niech będzie pochwalony, proszę księdza”. Po czym odchodzą. Kolejnego dnia ci sami zomowcy, spotkawszy Skiełczyńskiego, powiedzieli: „Proszę księdza, tego cywila, kiedy później wracał, już nie sprawdzaliśmy”.

To pokazuje, jak funkcjonuje prowincja. Jakie znaczenie ma na wsi czy w małym miasteczku godzina milicyjna? Żadnego, w przeciwieństwie do miasta. Gospodarka jest tam też bardziej naturalna. Kartki nie mają znaczenia, a wieś w ogóle ich nie miała. To są dwa światy: centrum (wielkie miasto) i peryferie

(Polska gminna). Zwłaszcza, że rodziny chłopskie były często beneficjentami całej tej sytuacji, wyglądającej trochę jak za okupacji.

**– Często mówi się o stanie wojennym jako o „czasie kobiet”. Czy słusznie?**

– Wydaje mi się, że jest to w pewnym stopniu nadużycie na rzecz dość wąskiej grupy opozycji, zwłaszcza tej, którą dotknęły internowania. Kobiety z natury rzeczy musiały na jakiś czas przejąć ich obowiązki. Powiedziałbym raczej, że jest to „czas kobiet” w szerszym znaczeniu, i to nie opozycyjnym. To głównie one stoją w kolejkach, co pokazują badania społeczne. To na kobiety spada obciążenie codziennym bytowaniem, które staje się jeszcze bardziej skomplikowane: w lutym 1982 roku wchodzi olbrzymie podwyżki cen, które wcześniej nie były możliwe z racji spodziewanego oporu „Solidarności”. Stabilizowały one rynek mniej więcej na pół roku, później wszystko wróciło do dawnego chaosu.

**– Czy realia społeczno-gospodarcze stanu wojennego stały się rajem dla czarnego rynku?**

– Czarny rynek rozwinął się dużo wcześniej i była to tylko i wyłącznie kontynuacja. Jak to zwykle bywało, przygasł on na chwilę po 13 grudnia, po czym błyskawicznie się dopasował, schodząc z oczu. Stał się trudniej kontrolowalny: wszedł do mieszkań i na podwórka. Była to sytuacja identyczna z tą z początku lat 1950., gdy czarny rynek był głęboko zakonspirowany. W stanie wojennym zmieniał też ciągle swoje oblicze z racji zmiany systemów reglamentacyjnych – gdy coś przestawało być reglamentowane, zmieniał się nacisk czarnorynkowy. Wyjątkiem był rynek tezauryzacyjny, czyli obrót dolarem i złotem. To dość ciekawe: dolar błyskawicznie urósł po 13 grudnia, osiągając miejscami 1000 złotych (sumę wówczas niewyobrażalną) i natychmiast spadł, co pokazywało działanie pewnych zasad rynkowych. Ludzie musieli sprzedawać dolary, aby przeżyć, nie było też wyjazdów, a bez nich rynek musiał

doprowadzić do spadku cen.

**– Czy generał oprócz swojej wizji politycznej miał jakąś wizję polityki społecznej?**

– Przyznam, że nie widzę w jego działalności wizji reformatorskiej. Jego spojrzenie oficera, którym był niemal od zawsze, powodowało, że widział społeczeństwo w sposób zmilitaryzowany. Nie zauważał pewnych odcieni, zmian społecznych czy wzorców płynących z Zachodu. Trochę mnie to dziwi, był to bowiem wyrafinowany intelektualista, orientujący się w nowych trendach kulturowych, chodzący do teatru i pięknie posługujący się polszczyzną. Każda osobowość jest jednak w jakiś sposób dwoista. Nigdy tego nie badałem, ale myślę, że jemu to po prostu umykało. Jest to raczej typowe podejście oficera – kontrolujące, a nie próbujące wpływać, nie zmieniające, a utrzymujące w pewnych ryzach.

**– Od początku w jego wystąpieniach publicznych widać próbę mobilizowania i dyscyplinowania społeczeństwa.**

– To jest właśnie podejście typowo wojskowe. Jednocześnie zaś próbował w sposób typowo autorytarny jednoczyć społeczeństwo i pokazywać, że nie ma żadnych różnic, że trzeba występować wspólnie, że istnieje wąska grupa wichrzycieli, ale cały naród w swojej zbiorowości jest dobry.

**– Czy Pana zdaniem istnieje coś takiego jak pokolenie stanu wojennego?**

– Istnieje doświadczenie stanu wojennego, ale nie wiem, czy można mówić o pokoleniu. Powód jest bardzo prosty: gdy wprowadzono stan wojenny, miałem 21 lat, ale wydaje mi się, że większe znaczenie miał on dla ludzi, którzy wtedy mieli lat 40 czy 50. Dla nich było to doświadczenie o wiele bardziej traumatyczne niż dla ludzi młodych. To wtedy moim zdaniem zaczął się ruch upolityczniania starszych kobiet, który potem w jakiś sposób odżył w latach 1990., gdy okazało się, że te kobiety, żyjące dłużej i przez to bardziej widoczne, stały się

wykluczone i nie należały do beneficjentów transformacji. To one uczestniczą w życiu politycznym jako „moherowe berety” – mówię to w cudzysłowie i bez żadnego kontekstu politycznego, bo funkcjonuje to już jako termin techniczny czy wręcz socjologiczny. Ich doświadczenia są zbiorowe i w pewien sposób związane ze stanem wojennym. To właśnie wtedy następuje bardzo istotny renesans religijny, w formie dość płytki i okupacyjny. Religia stała się odreagowaniem stresu i tak już zostało. Oczywiście, jest też grupa ludzi, którzy wtedy weszli w pewien sposób do polityki, ale to pokolenie, które naprawdę odegrało rolę w okresie transformacji, w czasie stanu wojennego, miało nie 20, a raczej 13 lub 14 lat...

#### **– Młodszy bracia...**

– ...którzy patrzyli z pewną zazdrością na to, co się stało. Ci, którzy mieli 20 lat w czasie stanu wojennego, w połowie lat 1980. musieli wejść w dorosłe życie, co niejako eliminowało ich z życia politycznego. Wiem to z pewnego własnego doświadczenia generacyjnego, ale i z obserwacji moich studentów pod koniec lat 1980., urodzonych około 1968 r.

Z prof. Jerzym Kochanowskim rozmawiał Tomasz Leszkowicz

Źródło: [Histmag.org](http://Histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

#### **NOTA BIOGRAFICZNA**

Jerzy Kochanowski (ur. 1960) – historyk, profesor doktor habilitowany, od 1988 r. wykładowca w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat w 1991 r., habilitacja w 2001 r., profesor zwyczajny od 2012 r. Specjalizuje się w historii Polski XX w., w szczególności w historii społecznej drugiej wojny światowej oraz PRL. Autor m.in. Zapomniany prezydent. Życie i działalność Ignacego Boernera 1875-1933 (Warszawa 1993), Węgry. Od ugody do ugody 1867-1990 (Warszawa 1997), W polskiej niewoli: niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945-1950 (Warszawa 2001), W połowie drogi. Warszawa między

Paryżem a Kijowem (red. naukowa, Warszawa 2006), Zanim powstała NRD. Polska wobec radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec 1945-1949 (Wrocław 2008), Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944-1989 (Warszawa 2010). W latach 1994-1995 zastępca redaktora naczelnego „Mówią Wieki”, od 2003 członek redakcji „Przeglądu Historycznego”.